

Mieszkowscy

Na przełomie 1918 i 1919 w Pabianicach osiedliła się rodzina Mieszkowskich z Piotrkowa Trybunalskiego. Juliusz Mieszkowski pełnił funkcję komisarza ludowego, który wraz z Tymczasową Radą Magistracką zarządzał krótko zrewoltowanym miastem. Synowie oraz córka komisarza uczęszczali do miejscowych gimnazjów. Stanisław Mieszkowski to przyszły szef Sztabu Głównego Marynarki Wojennej, zastępca dowódcy Marynarki Wojennej, dowódca Floty, natomiast Józef Tadeusz Mieszkowski był socjalistą i dziennikarzem, pracował w Robotniczym Przeglądzie Gospodarczym, Głosie Cukiernika, Pobudce, pisał do Robotnika, Dziennika Popularnego i Dziennika Powszechnego. Żoną komisarza była Stanisława Wojeńska, siostra - znanego w Pabianicach i w Polsce - Teofila Wojeńskiego, wpływowego nauczyciela i działacza oświatowego, dyrektora gimnazjów w Łodzi i Warszawie, przewodniczącego Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich, sekretarza generalnego Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego.

Intrygujący czas zamętu, zawirowań politycznych oraz nauki w gimnazjum pabianickim opisuje Józef T. Mieszkowski w książce "Wspomnienia dziennikarza socjalisty", 1971.

(...) A ogólnie biorąc, to sytuacja naszej rodziny w austriackim Piotrkowie nie prezentowała się różowo. Straciliśmy mieszkanie i większość ruchomości, poszła w zapomnienie dawna popularność ojca jako doskonałego fachowca - geometry przysięgłego, przepadła zatem i dawna szeroka klientela. Obecnie doszły trudności z umieszczeniem nas, czwórki dzieci, w szkole. Rodzice zdecydowali się ostatecznie przenieść z austriackiego Piotrkowa do niemieckich Pabianic.

Do niemieckich Pabianic przekoczowaliśmy głównie dlatego, że w tutejszym koedukacyjnym gimnazjum realnym kupców i przemysłowców nauczał najukochańszy, młodszy brat naszej mamy, wuj Teo. Teofil Wojeński zajmował w roku szkolnym 1918/1919 stanowisko inspektora rzeczowego gimnazjum oraz wykładowcy języka polskiego w starszych klasach. Dzięki wujowi Teo dyrektor tego gimnazjum pabianickiego zgodził się uznać nasze świadectwa szkolne z gimnazjum Komitetu Polskiego w Saratowie za dostatecznie ważne i przyjąć nas, trzech braci, do klas kolejno: trzeciej, czwartej i piątej, nie kładąc zdawać dodatkowych egzaminów. Najmłodsza siostrzyczka Marysia trafiła, także bez egzaminu, do klasy pierwszej tutejszego gimnazjum żeńskiego.

Dopiero w Pabianicach zaczęliśmy się cokolwiek orientować, jak bardzo skomplikowana była w tym czasie sytuacja ogólnopolityczna w niemieckiej części okupowanego Królestwa. Prawdę mówiąc, jedynym resortem jako tako polskim pod okupacją pruską było obok sądownictwa właśnie szkolnictwo. Lecz o to szkolnictwo polskie w społeczeństwie wrzała także namiętna walka, o czym mieliśmy możność przekonać się jeszcze w Piotrkowie. Szybko zorientowaliśmy się także, iż na terenie Pabianic kierunek postępowy w szkolnictwie polskim reprezentują niejako wujostwo Wojeńscy, natomiast kierunek konserwatywny uosabia w określonym stopniu dyrektor naszego gimnazjum pan Lipski. Z faktu tego wypływały wielorakie konsekwencje.

Okazało się przede wszystkim, że z moją adaptacją w czwartej gimnazjalnej w Pabianicach szło jak z kamienia. Zaraz na początku mojej tutejszej kariery szkolnej wdepnąłem w niezmiernie przykrą i żenującą nawet historię.

Do nie powiatowych nawet Pabianic do czwartej klasy tamtejszego nie upaństwowionego jeszcze, koedukacyjnego gimnazjum przybywa nagle aż znad azjatyckiego Uralu jakiś „bezprizornyj” nieomal Józio. Ciocia Czesia nazwała go „modernistą”, często parafrazując znany wierszyk bystrookiego Boya - mędrca z krakowskiego Zielonego Balonika:

Józio z krzywą buzią, czyli modernista,

To jest taki chłopak,

Co wszystko robi na opak,

Każdego głupstwa się czepi,

A wszystko chce wiedzieć lepiej ...

Otóż owemu prawie „bezprizornemu” Józiowi, który w Pabianicach dopiero zakończył kilkumiesięczny rajd przez całą pożarem rewolucji płonąca Rosję – w charakterze raczej opiekuna niżli podopiecznego – polecają zasiąść grzecznie w pierwszych ławkach czwartej klasy, wśród najmniejszych wzrostem, a więc i na ogół najmłodszych wiekiem, dobrze wychowanych i układnych chłopców, by wraz z nimi wkuwać przykładowie łacinę, francuski i niemiecki tudzież algebrę z geometrią. Zaś ci układni chłopcy z pierwszych ławek mają łacinę i algebrę wkute znacznie lepiej, bo przecież przechodzili dotąd wzorowo z klasy do klasy tego samego pabianickiego gimnazjum, podczas gdy niesforny Józio zmieniał w tym czasie czwartą już szkołę w czwartym mieście euro-azjatyckiego kontynentu.

Komplikacje z programem szkolnym stanowiły wszakże tylko niewielką część zmartwień. Znacznie trudniej było przystosować się do zainteresowań i trybu życia rówieśników z Pabianic. Niesfornemu Józiowi kategorycznie każą zapomnieć o wszystkich jego dotychczasowych doświadczeniach i zachowywać się tak przykładowie, jak dobrze wychowani chłopcy, uczniowie czwartej klasy. Dodać muszę, że powierzchowność Józia wyraźnie kontrastowała z jego wciąż buntującym się wnętrzem. Józio wreszcie, na domiar wszystkiego, był siostrzeńcem pana inspektora tegoż gimnazjum.

Rzecz prosta, w tak złożonej sytuacji musiały powstawać różnego rodzaju krótkie spięcia.

Jedno z takich spięć zapamiętałem lepiej od innych, niestety tak licznych w moim niewątpliwie burzliwym życiu. Czwarta klasa gimnazjum kupców i przemysłowców w Pabianicach składała się nie tylko z nieletnich, dobrze wychowanych chłopców i dziewcząt. Raczej odwrotnie, smarkule i smarkacze zajmowali na dobrą sprawę jedynie trzy pierwsze rzędy w klasie. Dalej byli starsi i więksi, a w ostatnich ławkach siedziały chłopcy pod wąsem i dziewczyny jak piece. Kawalerowie do wzięcia i panny na wydaniu, jak określali młodszy koledzy. Wszystko to przecież działo się w czwartym roku wojny, no i wszyscyśmy byli w wieku pokwitania.

Ja osobiście znalazłem się w wyjątkowo głupim położeniu. Jako się rzekło, posadzono mnie w pierwszym rzędzie ławek, ponieważ byłem „nauczycielskim dzieckiem” i – szczerze mówiąc – liczyłem sobie naówczas nie więcej niż półtora metra wzrostu. Starsi, te właśnie dryblasy pod wąsem, zaliczali mnie do smarkaczy. Nie miałem zamiaru uznać się za takowego i demonstrowałem tę swoją wolę przy każdej okazji. Wobec tego już w kilka tygodni po moim zjawieniu się w klasie starsi koledzy postanowili poddać mnie próbie. Czy aby godzien jestem być uznany nie za smarkacza? Próbę obmyślono dość złośliwie. Chodziło tu zresztą bodaj nie tylko o próbę.

Zatem pewnego pięknego poranka zgłosił się do mnie jeden z owych dryblasów, Leoś, i bez dłuższych wstępów oświadczył mniej więcej tak:

- Słuchaj, skoro chcesz należeć do naszej ferajny, to musisz doręczyć ten list grubej Kaśce – pokazał mi „sekretnik”, zaadresowany imiennie do jednej z koleżanek z naszej klasy, z dopiskiem „Przez grzeczność”.

- Nie interesuj się treścią tego listu - dodał ostrzegawczo - lecz gdyby coś z tego wynikło, w żadnym wypadku nie wolno ci wydać komukolwiek, kto ci ten list doręczył. Zaraz po wyjściu ze szkoły dajesz sekretnik Kaśce, nie wdając się w żadne rozmowy. Będziemy cię obserwowali. Nie zrobisz tak, jak ci mówię, albo gorzej - wysypiesz kogoś z nas - zostaniesz na całe życie gówniarzem.

Bez namysłu zgodziłem się i dopiero cokolwiek później zacząłem się drapać w głowę. Domyślałem się, oczywiście, że w sekretniku nic grzecznego ani nawet przyzwoitego nie było. Leoś cieszył się zasłużoną sławą śmiałego donzuan, zaś koleżanka gruba Kaśka imponowała wszystkim wspaniale

rozwiniętym biustem, powszechnie znanym pod nazwą „buforów grubej Kaski”. Odwrotu jednak już nie miałem. Zgodziłem się wszak dobrowolnie i gdybym teraz się cofnął, pogrzebałbym się z kretesem.

Ściśle wypełniłem tedy zadanie. Z najbliższej bramy obserwowałem, co dalej będzie. A Kasia otworzyła sekretnik i natychmiast z głośnym płaczem pobiegła do domu.

Następnego dnia wynikła chryja, którą po dziś dzień ze szczegółami pamiętam. Jak się domyślałem, treść sekretnika była nie tylko nieprzyzwoita, ale także wulgarnie obraźliwa. Na domiar złego, koleżanka Kasia była córką radnego z Chrześcijańskiej Demokracji w Radzie Miejskiej Pabianic, w której zasiadał również wuj Teo, socjalista i inspektor szkoły, oraz pan Lipski, endek i dyrektor szkoły. Historia z punktu nabrała tedy politycznego charakteru ze skandalizującym posmakiem.

Co przeżyłem, trudno opisać. Byłem wielokrotnie wzywany do inspektora Wojeńskiego i do dyrektora Lipskiego. Musiałem przeproszać nie tylko koleżankę Kasię, ale i jej rodzica. Siedziałem przez długie godziny w gimnazjalnej kozie. Grożono mi wilczym biletem. Ale nie wydałem nikogo. Uratowała mnie okoliczność nie przewidziana przez autorów listu. Sekretnik był wydrukowany na dziecinnej drukarence. Taką drukarenkę posiadał w szkole tylko jeden kolega – Filipek. Śledztwo prowadzono więc od tego końca i po nitce do kłębka – wykryto wszystkich sprawców. Leoś z Filipkiem wylecieli z budy, ja wprawdzie zostałem, ale z nowym listem niewawrzynowym w wianku mych zasług politycznych i rodzinnych.

Vacationes cras!

Na lizusów czas!

Dobrzy będą tańcowali,

A lizusy w skórę brali

Za nas i za was!

Ten z kolei wierszyk kazał mi przeczytać ojciec w dniu, w którym skandal z sekretnikiem osiągnął swój zenit. Wierszyk pochodził z książki Wiktora Gomułickiego „Wspomnienia niebieskiego mundurka”.

- Przeczytaj uważnie całą tę książkę – mówił mi ojciec. – Jest tam mowa o pokoleniu twego ojca z okresu nauki w rosyjskim jeszcze, rządowym progimnazjum w Pułtusku. Znajdziesz tam nawet nazwisko twego stryja, Piotrusia Mieszkowskiego. Zobaczysz, że i on, że i my wszyscy łobuzowaliśmy się także, a nawet wojowaliśmy z nielubianymi belframami, nasłanymi tu do nas z Rosji, by „obrusić” Priwisłanski Kraj”. Robiliśmy jednak to wszystko w jakiś inny, właściwszy sposób. Tak jak dla naszego wieku przystało. Nie lubiano i wtedy prymusów i pogardzano lizusami. Garbowano im nawet tradycyjnie skórę, gdy przychodziły wakacje. I ja nie żądam, byś był prymusem, tym bardziej zaś lizusem. Ale nie przynoś wstydu rodzicom, a zwłaszcza wujowi. Widzisz, jakie mamy trudności, jak nas zwalczają tutejsze endeckie i chadeckie łyki. Wszystkie środki są dla nich dobre. Tyś im dostarczył nowego argumentu.

Rodzice byli rzeczywiście w trudnej sytuacji. Ojciec wciąż nie mógł odbudować swojej rozległej ongi praktyki przysięgłego geometry. Miał też trudności formalne w uzyskaniu zezwolenia na wykonywanie zawodu od nowych władz. Starsi przeto decydują się na wyjazd do Warszawy wraz z najmłodszą siostrą, by pozalać to, co najkonieczniejsze, a nas, trzech chłopaków, zostawiają u wujostwa w Pabianicach. Moje samopoczucie nie poprawia się jednak po tej zmianie.

Starym zwyczajem ucieczki od trosk wszelakich szukałem w gromadzie, wśród rówieśników. Ponieważ uważaliśmy się wraz z bratem Stasiem za czynnych skautów, zameldowaliśmy się przeto zaraz po przybyciu do Pabianic w miejscowej drużynie, także bodaj im. Tadeusza Kościuszki.

Skautów wtedy właśnie przemianowano na harcerzy, szły więc tu gorące spory o charakter, o ideologię tego polskiego harcerstwa. W sens tych sporów wchodziłem etapami, stopniowo. Na razie trafiłem do zastępu druha Lucka Musiała. Był to wówczas uczeń siódmej klasy naszego gimnazjum, ale chłopisko wielkie, na schwał, o energicznych żołnierskich ruchach i postawie. Mówiono, że darł koty z naszym drużynowym, jakimś bogobojnym katolikiem, którego nie bardzo nawet zapamiętałem, natomiast kumał się podobno organizacyjnie i spiskował z miejscowymi, działającymi w konspiracji przedstawicielami niepodległościowej lewicy. Wymieniano nawet nazwiska jakichś działaczy z POW i Pogotowia Bojowego PPS. Lecz druh Musiał zachowywał się tajemniczo i trudno było odeń czegoś konkretnego się dowiedzieć.

W każdym razie wiedzieliśmy, że druh Musiał chodzi na jakoweś konwentykle z półlegalnie działającymi w ramach POW legionistami Piłsudskiego, ale tylko tymi, którzy odmówili przysięgi na wierność cesarzowi Austrii i kajzerowi Niemiec. Z dużą nieufnością natomiast patrzy i z wyraźną pogardą wyraża się o kompanii „Polnische Wehrmacht”, stacjonującej w Pabianicach. – Do tej i do innych kompanii tego „polskiego Wehrmachtu” – instruował nas na zbiórkach druh Lucek – poszli tylko ci legionieści, którzy złożyli wiernopoddańczą przysięgę obu germańskim cesarzom, wszelakiego typu pruscy lojaliści i aktywiści. Dziadek, tak bowiem familijnie nazywają legionieści swego komendanta Piłsudskiego, potępił polskich wehrmachtowców jako zdrajców. Należy przeto ich mieć stale i bacznie na oku, trzeba się ich wystrzegać. Nie wiadomo, jak się zachowają, gdy przyjdzie co do czego. Może pójdą karnie i lojalnie razem z niemiecką władzą przeciwko nam, wciąż buntującym się Polakom!

Domyślaliśmy się, że zbiórki naszego zastępu to nie tylko zabawa, ale także przygotowanie do ważnych politycznych wypadków, które, czuliśmy, wiszą już w powietrzu.

Historyczny moment rozbrajania niemieckich okupantów w listopadzie 1918 r. w Polsce upamiętnił mi się głównie poprzez namiętny spór, który wybuchł na zbiórce naszej drużyny.

Poszło o to, czy Polacy rozbrajając Niemców w Polsce mają założyć biało-czerwone czy też czerwone opaski na ramiona.

Spór, jak zazwyczaj w takich ważnych chwilach, był wściekle namiętny i jak się wkrótce dowiedziałem, nie ograniczał się tylko do drużyny harcerskiej w Pabianicach. Kłóciła się o to cała Polska i do dziś trwa podobno spór między historykami, czy w dniach listopadowych pierwszy załopotał na wieży Zamku Królewskiego w Warszawie sztandar czerwony czy biało-czerwony. A więc czy sztandar rewolucji międzynarodowej, czy też rewolucji tylko polskiej?

W Pabianicach rozbrajanie Niemców przebiegało sprawnie i spokojnie, można by nawet powiedzieć, że nudnie. Spór toczył się właściwie w płaszczyźnie taktyki, a nie różnic pryncypialnych. Jedni twierdzili, że znaczna część żołnierzy pruskich jest już tak zrewoltowana, że chętniej będzie oddawać broń naszym chłopcom w czerwonych emblematkach światowej rewolucji niżli nieletnim harcerzykom w polskich kolorach narodowowyzwoleńczego powstania. Inni utrzymywali jednak, że kolor czerwony jest niepopularny wśród znanych z nacjonalizmu żołnierzy pruskich, jako też wśród wielu polskich cywilów. Szwaby mają dość wojny i gotowi są oddawać karabiny każdemu, kto się nawinie, natomiast nasi chłopcy w czerwonych opaskach nie mogą liczyć na pomoc szerokich mas polskiej ludności.

Sporu zasadniczo nie rozstrzygnięto i jednolitych instrukcji nie otrzymaliśmy. Gdy więc wkrótce potem znalazłem się wraz z naszym zastępem na stacji kolejowej, to zauważyłem, że część skoncentrowanych tu oddziałów ma czerwone, a inna biało-czerwone opaski. Tu zdecydowano dopiero, że do zatrzymywanych na stacji pociągów wojskowych wchodzić będą, dla dokonania rewizji i odebrania reszty broni, nasi ludzie w czerwonych opaskach, zaś do pociągów osobowych – chłopcy w polskich kolorach.

Niemcy nie stawiali większego oporu. Na murach stacyjnych i na wagonach były wypisane znane mi już z Baranowicz hasła niemieckie: „Genug mit Marmelade!” oraz „Kaiser Wilhelm kaputt!”, a nawet

„Deutschland kaputt!” Wiadomo było powszechnie, że Niemcy uznali wojnę na zachodnim froncie za ostatecznie przegraną i poprosili państwa sprzymierzone o pokój. W Berlinie rozpoczynała się rewolucja. Nic dziwnego, że nikt z powracających nie zdradzał wojowniczych nastrojów.

Z satysfakcją wchodziliśmy – kilkunastoletnie szczeniaki uzbrojone w niedawno zdobyte bagnety – do wagonów konfiskować przejeżdżającym zachowaną jeszcze broń i rynsztunek wojenny. Niemcy oddawali chętnie karabiny, pistolety, bagnety i pasy z ładownicami, gorąco protestując natomiast przy każdej próbie odebrania im mocno wypełnionych tornistrów.

Iście humorystyczny to był obrazek, gdy butny dotąd, dobrze uzbrojony i umundurowany pruski knecht skwapliwie, z przymilnym uśmiechem, oddawał swego mauzera z całą amunicją jakiemuś kilkunastoletniemu chłopczkowi bez broni w harcerskiej koszuli z polską opaską na ramieniu. Braliśmy fantastyczny odwet za wszystkie okupacyjne czasy.

Osobiście na stacyjnym peronie w czerwonej opasce dyżurowałem krótko. Już po kilku godzinach otrzymałem rozkaz, aby zmienić opaskę na białą-czerwoną i maszerować gdzieś na peryferie, by pilnować jakichś składników. Resztę więc historycznego dnia spędziłem mniej ciekawie, dzwoniąc zębami na chłodzie w oczekiwaniu na karygodnie spóźniającą się zmianę warty. (...)

Rodzice moi wrócili z Warszawy w grudniu, przepełnieni wrażeniami z historycznych wydarzeń, w których brali bezpośredni udział i którymi byli bezpośrednio zainteresowani. Ojciec mój wrócił bowiem z nominacją na komisarza ludowego miasta Pabianic w kieszeni. Nominacja nosiła podpisy premiera Jędrzeja Moraczewskiego i ministra spraw wewnętrznych Stanisława Thugutta. Do przyjęcia tego stanowiska skłoniła ojca głównie nasza mama, natomiast okolicznością decydującą o tej nominacji był fakt, że ojciec był komisarzem fabryki w Uralsku w rewolucyjnej Rosji.

W nowo przydzielonym nam mieszkaniu w Pabianicach zapanowała od samego początku atmosfera szczególna. Trwał tam niejako permanentnie ożywiony mityng polityczny.

Mamusia opowiedziała naprzód szczegółowo, jak to się stało, że ojciec dostał nominację na czerwonego komisarza ludowego fabrycznych Pabianic z rąk tego socjała Moraczewskiego. Mama przecież zbytniego nabożeństwa do towarzysza Moraczewskiego nie żywiła, tak zresztą jak i do całego jego rządu ludowego. My, dzieci, domyślaliśmy się jednak, że mamie musiał zaimponować tytuł komisarza. Komisarz ludowy to przecież nie to samo, co geometra przysięgły. W Sowietach tytuł komisarza ludowego, po rosyjsku „narkom”, noszą ministrowie i członkowie rządu. W dodatku właśnie teraz w Warszawie, w okresie powoływania rządu Moraczewskiego i nominowania komisarzy ludowych w terenie, dyskutowano zawzięcie, czy aby nie zastąpić importowanego z bolszewickiej Rosji terminu „komisarz” piękną, staropolską nazwą „starosta”.

Ojciec, jakby przewidując dalsze nieszczęścia, nie chciał zostać komisarzem ludowym, chociaż przyjaciele polityczni namawiali go do tego bardzo gorąco, powołując się na jego rewolucyjną przeszłość. Był jednak kilińszczykiem, za caratu rzucił w twarz Apuchtinowi kaloszem, był na zsyłce w Rosji, a tak na dobrą sprawę, to był przecież także autentycznym komisarzem bolszewickim w Rosji, gdy nazajutrz po rewolucji październikowej Rada Robotniczych i Żołnierskich Delegatów chłodni pod Uralskiem powołała go na kierownika przedsiębiorstwa.

Atoli ojciec nadal się wahał. Twierdził, że nie ma ani zamiłowania, ani talentów administracyjnych, przede wszystkim jednak ma już całkiem postrzępione nerwy po doświadczeniach komisarzkich w Uralsku, przeczuwał więc, że komisarstwo ludowe w Polsce na dobre mu nie wyjdzie. Wuj Teo zawsze twierdził to samo. Ale mama i tym razem postawiła na swoim.

W naszym nowo przydzielonym mieszkaniu, w budynku plebanii księdza Półroli na przedmieściu Pabianic, trwał więc, jak się rzekło, ów nieustanny mityng polityczny.

Musieliśmy całą rodziną zainteresować się, niejako już z obowiązku, zawodowo polityką, i to polityką w najszerszym znaczeniu, od krajowej po międzynarodową. Następnie trzeba podkreślić, że wysoki

urząd komisarza ludowego miasta Pabianic znalazł się natychmiast, pospołu z rządem socjalisty Moraczewskiego, pod nieustannym ogniem nękającym propagandy reakcji. Praktycznie wyglądało to w ten sposób, że ojciec codziennie wracał z gmachu pabianickiego magistratu, gdzie urzędował, zmęczony fizycznie i rozdygotany nerwowo, po to, by w domu dowiedzieć się nowej, ogromnej porcji bulwersujących nowin.

Głównym informatorem o tym, co się dzieje w Polsce i na całym świecie, stała się dla nas prasa, zwłaszcza prasa socjalistyczna, choć, rzecz prosta, studiowaliśmy dokładnie pisma i innych kierunków politycznych. Z biurka ojca i wuja nie schodziły tedy egzemplarze warszawskiego „Robotnika”. Wuj Teofil Wojeński redagował wówczas pismo inteligencji radykalnej „Niezawisłość”, wydawane w Łodzi. Dla ojca prasa spełniała rolę nie mniej ważną niżli „Dziennik Ustaw” lub „Monitor Polski”. Do moich zaś obowiązków należało skrupulatne zszywanie pojedynczych egzemplarzy w comiesięczne komplety oraz rzadsze już rajdy do pobliskiej Łodzi z rękopisami artykułów wuja do redakcji „Niezawisłości”. W ten sposób już wtedy zacząłem terminować niejako na stanowisku redakcyjnego gońca, jednocześnie musiałem śledzić bardziej systematycznie bieżące wypadki w oświeceniu wymienionych pism socjalistycznych.

Toteż głównie z prasy socjalistycznej, ale także z opowiadań rodziców, po powrocie ich z Warszawy, tworzyłem sobie obraz procesu powstawania pierwszego rządu ludowego we wciąż jeszcze odwojowywanej przez nas wszystkich Polsce.

- Dlaczego Piłsudski nie uznał i nie zatwierdził uformowanego w Lublinie Rządu Ludowego z Daszyńskim na czele, lecz powołał własny rząd ludowy, z Moraczewskim jako premierem w Warszawie? - pytano zewsząd rodziców, gdy znaleźli się w Pabianicach.

- Słabością Tymczasowego Rządu Ludowego - odpowiadał ojciec - było to, że stanowił on rząd raczej Piłsudskiego i piłsudczyków niżli Daszyńskiego i socjalistów. Przyjrzyjcie się składowi rządu Daszyńskiego i policzcie, ilu w nim mieliśmy piłsudczyków. Oficjalnie człowiekiem komendanta był tylko pułkownik Rydz-Śmigły, któremu Piłsudski swego czasu przydzielił komendę POW, ale faktycznie ludźmi Piłsudskiego byli także w grupie inteligencji radykalnej: Wacław Sieroszewski i Medard Downarowicz; wśród ludowców: Juliusz Poniatowski, Irena Kosmowska i Stanisław Thugutt; wreszcie wśród socjalistów: Jędrzej Moraczewski, Tomasz Arciszewski, Marian Malinowski, Tadeusz Hołówko, Andrzej Strug i Bronisław Ziemięcki, a prawdę rzekłszy, to i sam premier Ignacy Daszyński. Zdecydowana zatem większość gabinetu ministrów. Czyż taki rząd mógł się zatem przeciwstawić woli Piłsudskiego? Wolne żarty.

- Za pozwoleniem - energicznie oponowała mama - rząd lubelski Daszyńskiego był wyjątkowo niepopularny w szerokich kręgach polskiego społeczeństwa. Nazwał się rządem robotniczo-chłopskim, choć jego większość stanowili inteligenci. Ogłosił od razu ten strasznie radykalny manifest, gdzie zapowiadał, że wydziedziczy z majątków resztę polskiego ziemiaństwa, tych więc, którym car moskiewski nie zdołał zrabować reszty ojcowizny. A i sam Daszyński nie jest zbyt popularny. Wprawdzie piękny mężczyzna i rzeczywiście wspaniały orator, ale zbyt często widywano go u Hawełki w Krakowie, jak zajał pieczoną gęs z jabłkami. Robotnikom ani chłopom nie mógł więc specjalnie się podobać. Kobietom owszem, podobał się. Nawet wielu. Ostatnia z jego licznych żon jest Żydówką, Celina z domu Kempner. Podobno bardzo zazdrosna baba i potrafiła wziąć wielkiego Ignaca zupełnie pod pantofel.

- Dajmy spokój babskim plotkom z magla - irytował się ojciec - i mówmy poważnie. (...)

- Najważniejszym zadaniem rządu Moraczewskiego jest doprowadzenie i uczciwe przeprowadzenie wyborów do Sejmu Ustawodawczego. Zobaczmy, jak się z tego zadania wywiąże premier Moraczewski. Przeprowadzenie wyborów do polskiej Konstytuanty - do Sejmu Ustawodawczego, będzie doskonałym kamieniem probierczym prawdziwych celów i zamiarów Piłsudskiego i jego kandydata na premiera rządu ludowego, Jędrzeja Moraczewskiego.

Te obawy towarzyszy z pabianickiej organizacji PPS - Raszpili i Szczerkowskiego, odwiedzających

podówczas często mojego ojca, zapamiętałem dobrze, bo niebawem, niestety, miały się one sprawdzić w całej rozciągłości.

Ojciec wracał ze swego urzędu zazwyczaj zmaltretowany doszczętnie.

- Jeżeli rząd ludowy w stolicy ma takie same trudności przy sprawowaniu swych funkcji, co i komisarz ludowy w terenie – mówił w takich chwilach – to nie wróżę, niestety, gabinetowi Moraczewskiego długiego żywota. Rząd Moraczewskiego i tworzony przezeń pośpiesznie aparat państwowy w terenie dokonują pracy iście gigantycznej i dlatego może są tak wściekle zewsząd zwalczane.

W wiele lat potem mogłem się przekonać, że ojciec miał tu całkowitą rację. W ciągu niespełna dwóch miesięcy swego trwania rząd ludowy Moraczewskiego zdołał zadekretować ośmiogodzinny dzień pracy z angielską sobotą, ubezpieczenie na wypadek choroby, minimum płacy w zakładach państwowych, ustanowił instytucję inspektorów pracy i biura pośrednictwa pracy, wprowadził nadzór państwowy nad źle zagospodarowanymi majątkami ziemskimi i lasami, a nawet i zakładami przemysłowymi.

Cała seria dekretów i rozporządzeń zmierzała w kierunku złagodzenia skutków wojny i okupacji oraz bieżących bolączek mas ludności. Wprowadzono więc dekret o ochronie lokatorów, zorganizowano pomoc dla bezrobotnych oraz roboty publiczne, zwłaszcza jednak starano się usprawnić zaopatrzenie ludności w żywność i odzież.

By podolać tym ogromnym zadaniom, trzeba było jednocześnie w szybkim tempie tworzyć rozległy aparat administracyjny – konieczne urzędy i władze państwowe, samorząd terytorialny, szkolnictwo, wojsko i wreszcie milicję ludową.

Bezpośrednim skutkiem tej bezprzykładnej aktywności polskiej władzy ludowej był iście obłędny atak polskiej reakcji, atak nie przebierający w środkach demagogii prawicowej.

Cały nasz dom nagle został postawiony na nogi alarmującą wieścią, która w dniu następnym w prasie bulwarowej tudzież endecko-chadeckiej została w tłustych nagłówkach sformułowana mniej więcej tak:

„Groźna manifestacja głodnych żołnerek (żon żołnierzy) pod siedzibą komisarza ludowego w gmachu magistrackim w Pabianicach. Kiedy nareszcie rząd ludowy towarzysza Moraczewskiego przestanie kpić z krzywdy nieszczęsnych kobiet – ofiar wojny?”

Było wczesne popołudnie i my, dziatwa szkolna, byliśmy już w domu. Ponieważ zaalarmowano nas, że ojcu grozi osobiste niebezpieczeństwo, całą gromadką pobiegliśmy co tchu pod magistrat. To, co tu zobaczyliśmy, mogło przstraszyć nie tylko dzieci.

Proszę sobie wyobrazić ogromny tłum obdartych i niewątpliwie głodnych, bo chudych i z pałającymi oczyma kobiet w różnym wieku, jak rozczochrane i z wzniesionymi ku niebu, lecz zaciśniętymi w pięści rękoma krzycząc przeraźliwie, każda na swój sposób:

- Chleba! Pracy! Dawać nam zaraz, bo same weźmiemy! Patrzcie ich, komisarzy ludowych! Sami jak beczki, a dla nas, głodnych, to nie ma! Rozpocząć natychmiast wydawanie zapomóg doraźnych, bo rozniesiemy te wasze czerwone komisariaty i rozpędzimy tę waszą Milicję Ludową! Precz z czerwonym rządem Moraczewskiego! Precz z bolszewikami! Precz z bezbożnikami obrażającymi Chrystusa i ściągającymi głód i gniew boży na ziemię i Polskę!

Na magistrackim krążganku, wyniesionym cokolwiek ponad tłumem rozwrzeszczanych bab, stał nasz biedny tatuś. Był rzeczywiście, jak wszyscy mężczyźni w jego rodzinie, okrągły. Kilku milicjantów ludowych na próżno starało się powstrzymać wdzierający się po schodach tłum. Mieli wprowadzić czerwone lampasy na mundurach, lecz nie mieli broni, a nawet pałek.

Cóż można było robić? Nie tylko, my, dzieci, byliśmy bezradni.

Bieda w kraju aż piszczy. Najbardziej deprymowało mnie chyba w tym czasie ersatz-obuwie, odziedziczone jeszcze po niemieckich okupantach. Majstrowano je w ten sposób, że do grubych drewnianych podeszew przytwierdzano tandetne cholewki z ersatz-skóry. Drewniane zelówki składały się z dwu części zespolonych także tą ersatz-skórą. Przez powstałą szparę do trzewików przenikała woda. Gdy na ulicy było błoto, w trzewikach chlupało, a na podłodze stale zostawiało się mokre plamy. W dni pogodne drewniane zelówki niemiłosiernie stukały po chodnikach i parkietach. Gdy szło się do szkoły, na ulicach, schodach i w klasach rozlegał się nieustannie ten głośny, charakterystyczny stukot.

Komisarskie uposażenie ojca było bardziej niż nędzne. Nasza liczna rodzina jadała rankiem, w południe i wieczorem po talerzu ersatz-zupki z kawałkiem ersatz-chleba. Stałoby się to wszystko może nawet nieznośne, gdyby nie było powszechne. Ale tak działo się u wszystkich chyba bez wyjątku naszych przyjaciół. Wszystkim zaś razem ludziom pracy łatwiej było jakoś znosić dotkliwą biedę pierwszego okresu niepodległości Polski po spustoszeniach okupacji.

Niestety, w tym czasie zrozumiałem także lepiej sens wyrazu „demagogia” i znaczenie pojęcia „demagogia reakcyjnego kołtuństwa”.

Tak jak rządy ludowe w Polsce zwalczane były najskuteczniej argumentem, że socjalistyczny premier jada pieczone gęsi z jabłkami u Hawełki w Krakowie, tak urząd komisarza ludowego w Pabianicach był zwalczany najchętniej argumentem, że ojciec mój jest za tłusty.

Tak jak postępowy kierunek w szkolnictwie polskim, reprezentowany przez Centralne Biuro Szkolne socjalisty Ksawerego Praussa w Piotrkowie, był zwalczany epitetami, że jest masoński, niemoralny i bezbożny, tak wuj Teo w Pabianicach był atakowany argumentem, że wychował w mojej osobie niemoralnego siostrzeńca, który robi nieprzyzwoite propozycje przyzwoitym paniom.

W większą jeszcze rozterkę wprawiały bardzo trudne do pojęcia stosunki w tworzącym się Wojsku Polskim.

Z jakże głęboko sprzecznymi uczuciami musiało się teraz patrzeć na śnione i marzone od najwcześniejszego dzieciństwa mundury polskich żołnierzy! Tych mundurów było teraz dużo i każdy wywoływał inną uczuciową reakcję. Dostrzegałem w tym okresie cztery grupy względnie nawet cztery gotowe formacje wojskowe, mające stworzyć trzon rodzącej się armii odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej, mającej stać się zawodową kadrą oficerską i podoficerską tworzonego przez rząd ludowy Wojska Polskiego. Widziałem więc: 1) „polski Wehrmacht”, 2) Dowborczyków, 3) Hallerczyków i 4) Piłsudczyków. Odrębną grupę stanowiły kadry Milicji Ludowej, powołanej już przez rząd Jędrzeja Moraczewskiego.

Jak widziałem każdą z tych grup i jej zachowanie się w rozgrywających się nadal w szybkim tempie wypadkach w Polsce?

Największą niechęć budził „polski Wehrmacht”. Z wielu przyczyn. Pamiętałem przecież jeszcze z opowiadań legionistów-piłsudczyków, że trafił tam najgorszy element z galicyjskich legionów, ci, co wbrew stanowisku komendanta Piłsudskiego złożyli przysięgę na wierność obu germańskim monarchom i gdy ich koledzy siedzieli za drutami niemieckich obozów koncentracyjnych w Beniaminowie i Szczypiornie, oni w nienawistnych pruskich mundurach feldgrau pomagali niemieckiej policji na ulicach Łodzi i Pabianic rozpędzać manifestacje polskich robotników.

- To najbardziej służalcze i germanofilskie elementy – opowiadali ci legionieści, których przydzielono do tworzenia nielegalnego POW – gotowe zawsze przeżyć się na baczność przed każdym kolejnym wodzem i wykonać każdy, choćby najpodlejszy rozkaz.

Taka charakterystyka polskich wehrmachtowców pokrywała się całkowicie z dalszymi obserwacjami,

w chwili bowiem, gdy rząd premiera Moraczewskiego ogłaszał mobilizację do Wojska Polskiego, a minister spraw wewnętrznych Thugutt organizował Milicję Ludową, to minister spraw wojskowych polecał „polskiemu Wehrmachtowi” przemianować się i przeorganizować na polską żandarmerię polową. Czynili to posłusznie i skwapliwie.

Stacjonująca w Pabianicach kompania „polskiego Wehrmachtu” zachowywała się wręcz prowokująco. Przyszli polscy żandarmi, wciąż jeszcze w pruskich mundurach feldgrau, z nieukrywaną wrogością i z podkreślaną pogardą patrzyli na czerwone lampasy naszej Milicji Ludowej, w sile jednego plutonu zorganizowanej w Pabianicach. Po zlikwidowaniu policji niemieckiej nasi ludowi milicjanci strzegli porządku i bezpieczeństwa w mieście, a także stanowili straż w urzędzie komisarza ludowego w gmachu pabianickiego magistratu.

Otóż przyszli żandarmi polscy, jeszcze w pruskich mundurach, już wkrótce po objęciu przez ojca urzędu poczęli rozgłaszać, że w najbliższym czasie otrzymają rozkaz rozbijania Milicji Ludowej, bo to przecież bolszewicy, tak samo zresztą jak ich obecny komisarz ludowy, a były komisarz bolszewicki w Rosji, tak samo jak ten ich cały rząd socjała Moraczewskiego w Warszawie, wpędzający nasza kochaną Polskę w głód i bolszewickie objęcia ...

- Do czasu już tylko tych socjalistycznych rządów w Polsce – odgrazali się otwarcie byli wehrmachtowcy – do czasu jeszcze będzie Milicja Ludowa bronić w Pabianicach swego komisarza ludowego przed gniewem polskich głodujących żołnierzy. Skończy się wkrótce z czerwonymi rządami w Polsce. My, polscy żandarmi, w każdym razie czerwonych rządów bronić nie będziemy.

W domu naszym nie miało się żadnych wątpliwości, że byli wehrmachtowcy pospół z Dowborczykami przygotowują się do zamachu na rząd ludowy. (...)

Bez sympatii już teraz patrzyłem także na znane mi dobrze z czasu przejazdu przez Mińsk i Bobrujsk również przecież polskie mundury Dowborczyków. Ożywili się oni teraz bardzo i zwłaszcza oficerów od Dowbora można było spotkać w znacznych ilościach w każdej knajpie i w kawiarni w Łodzi i w Pabianicach, jak tajemniczo radzili przeważnie z oficerami „polskiego Wehrmachtu”. Nikt nie miał złudzeń, że nie radzili oni li tylko o ogłoszonej przez rząd ludowy mobilizacji do odradzającego się Wojska Polskiego.

Wśród Dowborczyków mieliśmy wielu znajomych z czasów repatriacji z Rosji. Nie ukrywali oni niechęci do ojcowego stanowiska komisarza ludowego i nie konspirowali swych politycznych wyrachowań i planów. Nie prorokowali tedy zbyt długiego żywota rządowi ludowemu w Warszawie i urzędowi komisarza ludowego w Pabianicach. (...)

Ze znacznie większą już sympatią patrzyło się onymi czasy w Pabianicach na błękitnych żołnierzy narodowej armii generała Józefa Hallera, przybywających z ziemi francuskiej do Polski z wiosną 1919 roku. Wielce rogate konfederatki wojsk błękitnego generała pojawiły się także w rejonie Pabianic.

Nie zapomnę nigdy pierwszego zetknięcia z błękitnymi wojakami katolickiego generała Hallera. Już wtedy nosili wdzięczną nazwę „żołnierzy Królowej Jadwigi”. (...) Jak się rzekło, bryndza wśród nas, dziatwy szkolnej, była dotkliwa. Toteż nie lada ożywienie w szkole wywołała wiadomość, że torami kolejowymi tuż pod miastem idą ciągle, pociąg za pociągiem, duże transporty z wojskami generała Hallera z Francji. Hallerczycy są doskonale zaopatrzeni i uzbrojeni we francuską broń i we francuskie błękitne mundury koloru horizontal. I co jeszcze ważniejsze – są niezwykle hojni. Wystarczy wyjść nad owe tory kolejowe za miasto, stanąć gdzieś po drodze i pomachać chusteczką przejeżdżającym żołnierzom, by zaczęli wam zaraz rzucać całymi paczkami czekoladę i papierosy. Skoro zaś zdążycie im w dodatku zaśpiewać „Boże, coś Polskę” lub „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”, to gotowi wam dodać jeszcze nawet koc sukienny lub nowy mundur błękitny.

Nad tory kolejowe za miasto poczęły zatem chodzić dziatki szkolne całymi gromadkami. Chodziłem z nimi i ja także. Nie zapomnę pierwszego spotkania.

Oto torem kolejowym idzie długi pociąg towarowy wypełniony wojskiem Hallera. Jest zimno, ale większość błękitnych żołnierzyków siedzi w otwartych wagonach z nogami opuszczonymi na dół. Nie nacieszyli się jeszcze najwidoczniej odzyskaną ojczyzną, bo chłopcy patrzą rozmarzeni. Piękne po słonecznej, ale obcej przecież francuskiej ziemi wydają się im nawet te puste i nędzne podmiejskie wygony w Polsce. Nietrudno więc będzie wziąć ich na ten ojczyźniany sentyment. Całe nasze stadko krzyczy przeto w niebogłosy:

- Witajcie, rodacy! Polacy, jesteście wśród swoich! Bracia katolicy!

Posypały się rzeczywiście pierwsze paczki czekolady i pudełka papierosów. Ośmielone powodzeniem dzieci, zwłaszcza te doświadczone już i sprytniejsze, wykrzykują coraz bardziej patriotyczne i bogoojczyźniane wiwaty. Ktoś obok mnie intonuje „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”. Skutek jest natychmiastowy. Do nóg mych leci jakieś błękitne zawiniątko, zapewne jakaś część hallerczykowskiego munduru. Nim się zdążyłem schylić, wokół zabrzmiały ostrzegawcze glosy:

- Nie ruszaj! To nie dla ciebie! To nie dla bolszewików! Twój tata jest komisarzem ludowym. (...)

Natomiast w 10 dni po nieudanym puczu generalsko-endeckim, 16 stycznia 1919 roku, naczelnik państwa Piłsudski udzielił dymisji gabinetowi Moraczewskiego na jego własną prośbę.

Nie dysponowaliśmy naówczas jeszcze tak potężnymi środkami urabiania opinii, jak w drugiej połowie dwudziestego wieku, a wobec tego mój pogląd na kulisy, rzeczywiste i prawdziwe przyczyny zamachu stanu Januszajtisa urobił zasadniczo przebieg kolejnej sprzeczki rodzicielskiej okresu „Wiosna 1919”.

- W konsekwencji zamachu generała Januszajtisa ojciec nasz stracił stanowisko komisarza ludowego, a rodzinie naszej groziła tułaczka.

Tak widziała sprawę moja mama i widziała ją ze swego punktu widzenia prawidłowo, trzeźwo i słusznie. Ale memu ojcu chodziło także i o to co Piłsudski zwykł określać wymyślnym słówkiem „imponderabilia”, a co mówiąc językiem późniejszym i mniej mistycznym oznaczałoby może - polityczno-moralne aspekty zamachu na pierwszy rząd.

- Mógłbyś lepiej - mówiła znów bardzo poirytowana mama do papy - myśleć, jak zarobić o sto marek więcej na miesiąc niżli o tych imponderabiliach Piłsudskiego, a nasze dzieci nie chodziłyby w rozłazących się ersatz-trzewikach, a ty nie musiałbyś się jeszcze raz przekwalifikowywać z komisarza ludowego na komisarza ziemskiego. Czyż naprawdę zależy ci tak bardzo, by Piłsudski utrzymał się w fotelu naczelnika państwa, a w fotelu premiera siedział socjał Moraczewski, a nie endeck Paderewski? Oni myślą o swych fotelach, ty myśl o swojej posadzie!

Papa jak zazwyczaj nie we wszystkim godził się z mamą.

- Piłsudski - mówił - nie wysiadł jeszcze tak ostatecznie z czerwonego tramwaju socjalizmu (...)

- Zobaczysz - kończyła mama - że ten twój Piłsudski wykiwa w sposób bezczelny tę twoją PPS i ten twój rząd ludowy...

- Prawdę mówiąc - zgadzał się ojciec - to już bezczelnie wykiwał.

Ojciec w mieszkaniu naszym często wraz z wujem Teo odbywali długie rozmowy z wielu działaczami socjalistycznymi z Łodzi i Pabianic. Z Łodzi często przyjeżdżali Aleksy Rzewski i Antoni Remiszewski, zajmujący tam eksponowane stanowiska, a z Pabianic zapamiętałem Antoniego Szczerkowskiego i Władysława Raszpłę. Z rozmów tych dowiedziałem się z kolei, że Piłsudski w okresie montowania zamachu na rząd ludowy zachowywał się co najmniej dziwnie, jeśli nie wręcz podejrzanie. Próby aresztowania przez spiskowców Januszajtisa w hotelu Bristol gen. Szeptyckiego, a w Belwederze samego Piłsudskiego wyglądały już nie tylko operetkowo, ale zakrawały wprost na chęć stworzenia

wrażenia, że zamach uderza także w Piłsudskiego. (...)

Ojca mego tedy nie rozstrzelano ani nawet nie wytoczono mu procesu na przykład o okradanie głodnych żołnierzy pabianickich. Udzielono mu tylko natychmiastowej dymisji z posady komisarza ludowego, i to w dodatku z zastrzeżeniem, że mu w aparacie Ministerium Spraw Wewnętrznych pozostawać nie wolno – ma zbyt zaszarganą opinię, jako były bolszewicki komisarz gdzieś tam w azjatyckiej Rosji, w Uralsku. By jednak ani ojciec, ani jego liczni przyjaciele osobiści i polityczni nie byli zbyt rozżaleni i nie pałali żądzą odwetu, zaproponowano ojcu, by się przekwalifikował z komisarza ludowego na komisarza ziemskiego. To wcale nie taka straszna zmiana. Wszak gabinet Paderewskiego będzie realizował reformę rolną, zadekretowaną przez bolszewickie rządy ludowe Daszyńskich i Moraczewskich. Będzie wkrótce utworzony Główny Urząd Ziemski i powołana cała ogromna sieć komisarzy ziemskich we wszystkich powiatach Rzeczypospolitej. Ojcu zaproponowano, by został komisarzem ziemskim gdzieś aż na Podlasiu, w Siedlcach, Sokołowie czy nawet w Węgrowie.

Rodzinie naszej groził więc nowy exodus na głuchą prowincję. Nasza mama była na przemian w dzikiej furii lub na dnie rozpacz. Klęła po kolei w żywy kamień to słabość rządu tego agenta piłsudczyzny, Moraczewskiego, to narzucony Polsce przez kapitalistyczne mocarstwa zachodnie gabinet tego endeckiego fortepianisty, Paderewskiego, lecz przede wszystkim prorokowała wallenrodycznemu komendantowi Piłsudskiemu, że mu endecy słono i gorzko się odpłacą za wpuszczenie ich do rządu i za mandat na przeprowadzenie wyborów do Sejmu Ustawodawczego Rzeczypospolitej.

- Przykład, jak dowcipnie wystawił Piłsudski socjalistów do wiatru z tymi rządami ludowymi w Polsce – tłumaczyła nam mama – ostrzegł endeków, że najgroźniejszym ich konkurentem do władzy, a więc najniebezpieczniejszym wrogiem na lewicy polskiej jest właśnie komendant Piłsudski, a nie żadni tam socjaliści ani wyzwolenci. Na Piłsudskiego zatem należy skierować co najcieplejszy ogień z najcięższych dział propagandowych.

I rzeczywiście – naczelnika państwa komendanta Józefa Piłsudskiego, reakcja endecka zaatakowała natychmiast po dojściu do władzy gabinetu Paderewskiego. Zaatakowała przy tym swym ulubionym, wielokrotnie wypróbowanym i najskuteczniejszym orężem, mianowicie wrabiając Piłsudskiemu i piłsudczyźnie żydostwo.

Wrzaskliwa żona radnego chadeka z magistratu przysięgała na wszystkie świętości, że Piłsudski jest ożeniony z Żydówką, jakąś panną Olą, podobno córką samego Perla z warszawskiego „Robotnika”. Pani żona chrześcijańskiego radnego nie omieszczała dodać, że taki uczony człowiek jak pan dyrektor gimnazjum Lipski mówi to samo. Powiedział nawet, że wszystkie te piłsudczyki i socjały jednym łukiem szyci.

Josek Rosenstein był najmniejszym z chłopców w naszej czwartej gimnazjalnej i miał wiele cech bardzo zabawnych, ale uczył się dobrze i wobec tego większość kolegów – synów piastowych, z niego nie kpiła ani mu nie dokuczała. Joska usadzono w ławce w pierwszym rzędzie, a mnie obok niego. Los więc związał nas na cały rok bardzo blisko i chyba nawet mocno. Mieszkaliśmy bowiem w tym samym kącie Pabianic, wracaliśmy więc ze szkoły do domu także razem dobry kilometr. Po drodze kłóciliśmy się zawsze bardzo zapalczywie.

Josek był bowiem fanatycznym syjonistą i wyznaje bez wstydu, że nawrócił mnie w tym przynajmniej okresie prawie bez reszty na syjonizm. Będzie to cokolwiek trudno wytłumaczyć, muszę jednak spróbować.

Zaraz w pierwszych dniach wspólnych naszych powrotów ze szkoły do domu kolega Josek zaintrygował mnie niepomniernie rysowaniem na mijanych przez nas parkanach dwu bardzo efektownie wyglądających gwiazd – pięcio- i sześcioramiennych.

Geometria była jednym z wielu moich słabych miejsc w wiedzy matematycznej. Dowodziliśmy

właśnie w tym okresie mozolnie na tablicy w klasie twierdzeń o kształcie słynnych „portek Pitagorasa”. Jasek w tym celował. Początkowo tedy z dużą uwagą śledziłem, jak zdolny kolega misternie wyprowadzał naprzód na parkanie kredą idealne koło, punktował je w pięciu miejscach i połączwszy te punkty, zręcznie wpisywał w koło pięcioramienną gwiazdę. I natychmiast tuż obok na płocie rysował równoramienny trójkąt wierzchołkiem w górę, po czym równie zręcznie nakładał nań drugi trójkąt, ale wierzchołkiem w dół. Nieklamana radością tryskał melancholijny na ogół wzrok kolegi Joska. Gdy na płocie obok regularnej pięcioramiennej gwiazdy pojawiała się jeszcze wspanialsza gwiazda sześciopromienna.

Moje zainteresowanie geometrycznymi wyczynami Joska na plotach bynajmniej nie zmalało, gdy wyznał mi, że obie gwiazdy mają głębokie symboliczne znaczenie wielkiego prorocstwa. Wszak gwiazda pięcioramienna to symbol międzynarodowej solidarności proletariatu, współczesnego objawienia genialnego Karola Marksa, zaś gwiazda sześcioramienna to wschodząca dopiero gwiazda syjonizmu – idei wskrzeszenia po dwu tysiącach lat rozproszenia Żydów po świecie ich własnego, suwerennego państwa w Palestynie.

To, co opowiadał mi kolega Jasek, robiło tym silniejsze wrażenie, że działo się w okresie nasilenia nowej fali antysemityzmu przez endecję.

Codziennie kłótnie z Joskiem stawały się nie tylko zapalczywe, ale coraz trudniejsze. Szedłem z nim nafaszerowany ogromnym ładunkiem świeżo przeczytanej prasy i literatury endeckiej, wskazującej na najgorsze cechy międzynarodowego żydostwa, polskiego bynajmniej nie oszczędzając, a i sam Jasek irytował bardzo, stając się coraz częściej nieznośnie prowokującym. Często więc przychodziła ochota kropnąć podskakującego Joska w ucho. Lecz Jasek dobrze wiedział, że ja – syn komisarza ludowego, w ucho go nie kropnę, więc prowokował mnie dalej. Ciekawe jest tedy, jak nawracał mnie kolega Jasek na syjonizm.

- Kolego Józek – rozpoczynał on z reguły bardzo grzecznie i nad wyraz spokojnie nasze codzienne dyskusje w marszu – musicie obiektywnie przyznać, kolego, że my, Żydzi, górujemy nad wami, gojami, pod każdym względem, a zwłaszcza intelektualnie. Weźmy najbliższy przykład. Dla mnie udowodnienie twierdzenia Pitagorasa nie przedstawia najmniejszych trudności, a wam jakże trudno zorientować się w wymiarach, jak dowcipnie się wyrażacie – „portek Pitagorasa”! A inny bliski nam przykład. Jak naiwnie, bo nie powiem wprost: głupio, rozegraliście tę ordynarną historię z sekretnikiem dla grubej Kaśki! Czyż jakikolwiek Żyd by ją tak topornie załatwiał! I nie ma się tu czego obrażać.

Zdaje się, że palnąłem jeszcze wtedy kolegi Joska w ucho, lecz opowiedziałem mu tylko anegdotkę zapamiętaną jeszcze z Moskwy, od kolegi Borodiczka. Brzmiała ona tak:

- Już w carskiej Rosji wszyscy wybitniejsi intelektualiści i pisarze byli żydowskiego pochodzenia. Wymieńmy tych najgłośniejszych po kolei – Lew Tołstoj, Sasza Puszkina, Misza Lermontowicz, Kola Gogelman, no i ten Dostoj Joskowicz...

Kolega Jasek roześmiał się serdecznie, dysponował bowiem także poczuciem humoru, ale zaraz odpowiedział:

- Ten kawał wymyślili też na pewno nasi Żydkiwie.

Hece antysemickie w Polsce wciąż przybierały na sile. Trudno określić, kto lub co je głównie wznicało – wojacy różnych autoramentów, czy może dodatkowe paragrafy w wersalskim traktacie pokojowym, biorące pod specjalną opiekę obywateli żydowskiego pochodzenia w Polsce.

Wojaków różnego autoramentu obcinających brody i pejsy Żydom na stacjach kolejowych w Pabianicach i w innych miastach Polski widziało się co prawda często. Byli to najczęściej poznaniacy od generała Dowbora, choć nie brakło i „żołnierzy Królowej Jadwigi” katolickiego generała Hallera oraz innych, nawet rekrutów świeżo powołanych pod broń do odrodzonego Wojska Polskiego.

W naszych rozmowach z kolegą Joskiem stale na plan pierwszy wpływała kwestia specjalnego uprzywilejowania Żydów, narzuconego Polsce przez państwa koalicji Zachodu w traktacie pokojowym w Wersalu.

- Polska nie po to ograniczała przywileje swej szlachty kolejno we wszystkich swych konstytucjach i prawach, by przywileje wprowadzać dla Żydów - wykrzykiwałem koledze Joskowi, przyjmując całkowicie endecką argumentację. - Konstytucja restytuowanej Rzeczypospolitej Polskiej nie może wyróżniać żadnej grupy obywateli niepolskiego pochodzenia. Byłoby to obraza godności narodowej Polaków - gospodarzy tej ziemi.

- Traktat wersalski - wołał z triumfem Jasek - podpisali przecież twoi endecy z Dmowskim, których niby tak nienawidzisz za ich polski nacjonalizm, a Anglicy, zgadzając się na powrót Żydów do Palestyny, każą im porozumieć się z tamtejszymi Arabami i stworzyć wspólne państwo dwunarodowe Żydów i Arabów, jakąś Judeo-Arabie!

- A ty byś wołał Judeo-Polonie! - krzyknąłem już w pasji. - Czyż nie rozumiesz, że lejesz w ten sposób wodę na młyn endeckiego szowinizmu?

- To bądź i ty konsekwentny - nie dawał się Jasek. - Skoroś gotów razem z twoimi braćmi endekami krzyknąć: „Precz Żydzi, do Palestyny!” - to popieraj dążenia nas - syjonistów, do odbudowania jednonarodowej Judei, do suwerennego państwa Żydów, do Ziemi Obiecanej.

Wściekły spór z Joskiem miał być ostatnim silniejszym wrażeniem, jakiego doznałem opuszczając Pabianice. Zbliżały się wakacje. Rodzice wyjeżdżali znów do Warszawy, gdzie ojciec na jakichś mocno skróconych kursach miał się przekwalifikowywać z komisarza ludowego na komisarza ziemskiego. My zaś, czwórka dzieci, mieliśmy spędzić lato 1919 roku na wakacjach u stryja Bolka, proboszcza parafii Rosochate pod miasteczkiem Zambrów w województwie białostockim. (...)

Autor: Sławomir Saładaj